

## *Longshore Drift – fragmenty*

[...] tego dnia w pociągu z Dublina, kiedy głowa opadała mi we śnie pod własnym ciężarem, a oddech pokrywał mgłą szybę, o którą się opierałam, śniłam, że słyszę łagodne uderzenie fali o brzeg i zobaczyłam go tam, na plaży, ze zmierzwionymi włosami, fałdami na ramionach, jak stoi dumny i dziki, z brzuszkiem i brodą, wystającymi poza linię ciała. Jego wzrok skierowany był na fale oceanu, miarowo pluskające o brzeg. Śniłam to zdarzenie przez jakiś czas wcześniej, więc poniekąd byłam na nie przygotowana. Powtarzając tę samą rolę, obserwowałam i fantazjowałam – podążałam wzrokiem za jego powolnymi, stanowczymi ruchami, bosymi stopami zmagającymi się z gładkim piaskiem, myśląc, że odłamki muszli muszą kłuć jego delikatne stopy. W tych snach nigdy nie powiedziałam słowa do tamtego chłopca, nigdy go nie dotknęłam. Ręce trzymał wzdłuż ciała, kiedy statecznie kroczył w kierunku brzegu, przyciągany przez ocean. Śledząc te ruchy, przypominałam sobie jego pierwsze chwiejne kroki, sposób, w jaki trzymał ręce wysoko, po obu stronach klatki piersiowej i małe ramiona zgięte w łokciach, gdy poruszał się drobnymi kroczkami, ciągle narażony na przewrócenie się. Poczulałam to samo ukłucie w piersi jak wtedy – trwożące przeczucie upadku.

\*

Szedł plażą niespiesznie, by od czasu do czasu utkwić spojrzenie w pustym morzu. Występowało z brzegów spienionymi bałwanami, rycząc. Nie zdołał ożywić w pamięci dnia, kiedy wśród nadmorskich kamyków i postrzępionej ławicy wodorostów spacerował tu ostatni raz wspólnie z żoną. Czas minął niepostrzeżenie, a dzieci stały się kapryśne i opryskliwe. Nie przemógł się, żeby poprosić Sorchę o to, by towarzyszyła osamotnionemu mężowi w spacerze. Czułby się wtedy niezręcznie – jakby prosił ją o wyświadczenie przysługi większej niż nią w rzeczywistości była. Nie miał pewności, jak zareaguje. Przed dotarciem do domu ujrzał Larę siedzącą na najniższym stopniu schodów. Na widok jej skupionej, zaabsorbowanej twarzy, zawahał się, czy może podejść bliżej, żeby tym samym nie zakłócić intymnego nastroju.

\*

Czułam, jak wzbiera się we mnie bunt. Sylvie uśmiechnęła się do mnie, odsłaniając duże zęby, białe i zdrowe, turkusowe ramiączka stanika wrzynały się jej w ramiona, a mnie w jednej chwili zaczęły dręczyć wątpliwości. Zapadło ponure milczenie, które trwało za długo. Usiłowałam cokolwiek powiedzieć, w tym czasie twarz Aleja stała się przytłumiona, ostrości nadawały jej oczy. [...] Przez minutę obserwowałam, jak odchodzą, zanim wtopili się w tłum. Nie obejrzeliby się za siebie. Nacio i ja zawróciliśmy w kierunku stoiska z kłębowiskiem węży, nie mogłam jednak się powstrzymać, żeby znowu nie spojrzeć do tyłu. Ujrzałam ich na samym końcu pasażu – on, niższy od niej, swobodnie ruszał ramionami, odgarniał sobie ze śmiechem włosy; ona – o długich, smukłych plecach, z blond warkoczem kołyszącym się na różowym rzadkim płótnie sukienki. Odchyłała głowę do tyłu, kiedy coś do niej mówił, on objął ją lekko w pasie.

\*

– To musiało być okropne – powtórzyła, po czym niepewnie i w sprytny dla siebie sposób dodała – i dla twojego męża.

– Nie jest moim mężem – usłyszała krótką, zdawkową odpowiedź.

Niech będzie, przyznaję, zareagowałam z wyrzutem:

– Nigdy nie byliśmy małżeństwem.

– Oczywiście, że nie. Wiedziałam o tym – przytaknęła, w akcie przeprosin kręcąc głową na znak, że się pomyliła. – Możesz mi przypomnieć, jak się nazywa?

– Alejo – nadałam teraz łagodniejszy ton rozmowie.

– Alejo – powtórzyła, przytakując z uznaniem skinieniem głowy. – Twoja matka dużo o nim opowiadała i o tym, że twoje listy zawierały wiele informacji na jego temat. Myślę, że go lubiła. Lubiała wieści o nim. „Będzie dla niej dobry”, rzekła raz do mnie. Jaka szkoda, że nigdy się z nim nie spotkała. Albo z chłopczykiem. Ignatius, prawda? – zapytała, ostrożnie wymawiając jego imię. – Czy tak miał na imię?

– Ignacio – obruszyłam się. – Ma na imię Ignacio. On nie umarł.